№ 12.

Warszawa, dnia 22 Marca 1862 r. | 10 Marca.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Szanownych Prenumeratorów Tygodnika Mód w Warszawie zamieszkałych, upraszamy o wczesne składanie prenumeraty na kwartał drugi bieżącego roku, aby stosownie do poczynionych zapisów odpowiednia liczba rycin z Paryża sprowadzoną została.

Z GNIAZDKA.

(PODSŁUCHANE).

— Górą, górą ptaku młody,
Ile starczy sił, leć górą—
Tyle szczęścia i swobody,
Co pod słońcem, lub pod chmurą.

Gdy lot zniżysz swój nad ziemię,
Lada wystrzał w grom się zmieni—
Tam tłum ludzi—tu las drzemie,
Oku, skrzydłom brak przestrzeni.

— Piękne, piękne rady twoje,
Lecz mi trudno pójść za niemi—
Tu rodzinne gniazdko moje,
Wszystko moje tu na ziemi.

Ziemia karmi mnie i poi,
Do spoczynku na pierś składa—
I skrzydlaci bracia moi
Tu się w bratnie łączą stada.

I choć wzniosę się pod chmury,
By zanucić pieśń dziękczynną
Ojcu ziemi i natury—
Wrócę w ustroń mą rodzinną.

I bynajmniéj się nie trwożę,
Że myśliwiec broń ma zdradną—
Kule noszą ręce Boże,
Co i w chmurach gromem władną.

Jan Prusinowski.

———

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Dnia 29 Lutego.

— Obecnie, brak bawełny bardzo dotkliwie, nawet rozpacznie czuć się daje we wszystkich fabrykach tkackich we Francji. Skarb na wsparcie robotników, pozbawionych zarobku, ogromne koszta ponosi, tak dalece, że przy obecném naprężeniu finansowém, niezadowoleniu umysłów, taić się z tém jest zmuszony. W jedném mieście Rouen i jego okolicach, gdzie przemysł tkacki wielką ilość liczy fabryk, skarb publiczny codzień około 300,000 franków wydaje na wsparcie osób pozbawionych pracy. Prócz tego, jak również pomimo ogromnych składek prywatnych, które biura niektórych dzienników w Paryżu i innych miastach zbierają, nędza niesłychana: brak mieszkania, pokarmu i odzieży, kilku miljonom ludzi najmniéj, z pracy rąk żyjącym tak w Paryżu jak i na prowincji, nieznośnie i coraz przykrzéj czuć się daje. Już nieraz miałem sposobność zwrócić uwagę moich Czytelniczek na gorączkowy stan życia społecznego we Francji, na opłakane skutki, jakie to przyspieszone bicie pulsu w całym organizmie państwa sprowadzić może; wymieniłem również powody, co ten stan rzeczy sprowadziły. Są one bardzo rozmaite; wspomnę więc tylko o najgłówniejszych. Francuz z natury jest zazdrosny, z wielką trudnością wyższość materjalną lub moralną komukolwiek przyznać się podpisze; ztąd to wszyscy Francuzi dążą do niwelacji klass społeczeńskich, jednostajności wychowania, tożsamości potrzeb, a nawet wygód domowych. Pochopni do luxu, przykładem wystawy dworu Cesarza Napoleona III i jego przybocznéj armji różnego rodzaju dygnitarzów stanu podsycani, zwiększającą się liczbą coraz doskonalących się i zbytkownych wyrobów nęceni, z każdym dniem wydatki dzienne powiększać muszą. W stosunku odwrotnym do tych zachceń, wszystko na nieszczęście tu niesłychanie drożeje, a zkądinąd, w skutek powiększającéj się coraz ludności, możliwość pracy i zarobku coraz się trudniejszą staje, a zatém zasoby coraz więcéj maleją. Stopniowo rozgałęziane zastępowanie ręcznéj pracy parowemi machinami i innego rodzaju narzędziami mechanicznemi, wciąż produkcję rolniczą i fabryczną mniéj dostępną dla chcących pracować czyni. Monopolizowanie wielkich prac i olbrzymich produkcyj w ręku stowarzyszeń, bogaci entreprenerów i gromadzi kapitały w kassach nielicznéj klassy ludności, z uszczerbkiem ogółu robotników. Niechże taki stan anormalny społeczeństwa zagrożonym zostanie przez jakiś nieprzewidziany wypadek, naprzykład nieurodzaj, brak bawełny, przymusowe ograniczenia wydatków publicznych w skutek niepomiarkowanéj rozrzutności, a zrobi się, jak w obecnym czasie, przerażający obraz niedostatku i nędzy. Taki to obraz przedstawia dziś Francja. Jeżeli jedni miljony na zbytki tracą, to drudzy niemal z głodnéj śmierci umierać muszą.

Myli się ten, co utrzymuje, że przez bale i zabawy świata potrafi dźwignąć z toni miljony robotników bez zatrudnienia. Nigdy, nikt nigdzie i niczyjéj nędzy nie zaradził zbytkiem. Wystawne życie i zbytki panów podają sposobność zarobkowania tylko robotnikom zajętym w rzemiosłach tak zwanych *du luxe*, których zawsze stosunkowo do robotników dla użytecznéj produkcji pracujących, nieznaczna liczy się ilość. Ale to tak pięknie brzmi i tak wygodnie jest bawić się, niosąc zarazem pomoc cierpiącéj ludzkości. Niejedna bogini przybrana w koronki, jedwabie, złoto i rubiny, jest najmocniéj przekonana, a przynajmniéj chce wmówić w siebie, że co Środa tańcuje w Tuilerjach na korzyść ubogich.

Chociaż w Polsce, dzięki Opatrzności, zarody podobnéj stagnacji pracy i zarobkowania nawet nie kiełkują jeszcze, zajmującą wszakże rzeczą jest, jak sądzę, zastanowić się nad losem kobiet w takiém położeniu i stanie towarzystwa. Najprzód, zawieranie związków małżeńskich zrobiło się tu dostępném jedynie dla ludzi uprzywilejowanych, bo jakżeby podołał mężczyzna własnemi siłami i pracą utrzymać dom, żonę i rodzinę, kiedy on wszystkie zasoby zabiegłości wyczerpać musi, aby sam sobie wystarczył? Kobieta przymuszona żyć z własnéj pracy, *ouvrière consommée*, szwaczka, modystka i t. d. przed laty kilkunastu zarabiała przynajmniéj franka na dzień i życie, dziś robotnice niektórych rzemiosł zaledwie trzecią część tego, to jest 30 centymów na dzień dostają, a ceny na przedmioty pierwszych potrzeb życia i najem lokali, od lat dwunastu a mianowicie od wojny wschodniéj, więcéj jak zdwojone zostały. Prócz tego, zwyczaj od lat kilku uświęcony wymaga, że nie tylko czysto i porządnie, ale nawet elegancko ubraną wychodzić na ulicę i spacer tylko można—bo przeciwnie, śmiech i politowanie skromnie ubrana dziewczyna u wzgardliwych koleżanek obudzi. Cóż więc ztąd wynika? Oto, że popelinowe i mantynowe suknie, a nawet koronki u czepeczka i hafty u spódnicy stały się koniecznością; a koszula, ta powabna, czysta koszulka, w któréj każda z naszych wieśniaczek tak strojnie wygląda, zostały istotnym zbytkiem....

Brak pracy i niedostateczność zarobku z jednéj,

a drożyzna z drugiéj strony, w okropném, rozpaczném położeniu stawi dziewczyny biedne, chociaż pracowite i zdolne, które tu do Paryża z prowincji, a nawet z Niemiec co rok massami dla zarobkowania się garną.

Z tych to powodów wszystkie prawie dzienniki w tych dniach rozprawiać zaczęły *o prawie kobiet do pracy i o powiększeniu zarobku* za ich produkcją. Podniesiono kwestją, aby kobiety przyjmować na zecerów do drukarń, rozprawiano długo nad przeszkodami do urzeczywistnienia tego pomysłu ze względu na moralność, mówiono za i przeciw, aż wstąpiła w szranki téj polemicznéj dyskussji rytownica nut muzycznych, niejaka Marja Louis, i wystosowała do *Opinion Nationale* list, który w całym Paryżu obudził najżywsze zajęcie.

Oto są ważniejsze z niego wyjątki, które Paniom dadzą dokładny obrazek położenia większéj części ludności żeńskiéj w Paryżu:

„. . . . .Znałam uczciwe dziewczyny,—powiada Marja Louis,—które przez pracę swą jedynie utrzymywać się postanowiły. Żadna z nich dokazać tego nie była w możności (sic). Rzadko znaléść wyrobnika pracowitego i uczciwego człowieka, któryby chciał przyjąć na siebie jarzmo małżeństwa i utrzymywać dom i rodzinę; a przynajmniéj długo i najczęściéj bez skutku wyglądać tego przychodzi. Zanim ta szczęsna gwiazda wzejdzie, uczciwa dziewczyna z pracy własnéj się utrzymująca, znajdzie się wprzód w opłakanéj konieczności umierania z głodu, albo szukania protektora.

„A kiedy zabraknie protekcji prawéj (wypadek przez żaden kodeks nieprzewidziany), cóż się stanie z kobietą i jéj dziećmi? Większa część wyrobników przynoszą do domu resztki zarobku, którego nie przepili. Mało jest takich domów, gdzie zarobek samego mężczyzny wystarcza na utrzymanie. Żona koniecznie umiéć powinna jakieś rzemiosło, i pracować musi, aby choć kilka sous na dzień zarobić. (W takiém położeniu znajdują się prawie wszyscy Polacy, którzy się tu z Francuzkami pożenili). Przytém oprzątnąć musi dom, naprawić i wyprać bieliznę; szczęśliwa, jeżeli od wieczora do rana nie oberwie szturchańca od protektora, którego pijaństwo do okrucieństwa, a często do wściekłości przywodzi.

„Zdawałoby się, że czułość mężczyzny dla kobiety podszyta jest nienawiścią. Krzyczą mężczyźni na bezczelność tych kobiet, które miały odwagę porzucić pracę, bo im tylko nędzny zarobek przynosiła; a znowu pogardzają niewiastą, która z poddaniem się losowi znosi nędzę i wszelkie jéj następstwa.

„Gdybym mogła, przedziergnęłabym dorożkarzy w szkapy, a mężczyzn w kobiety, bo dalibóg, lepiéj zostać koniem, jak w grzechu umierać. Jestem przekonana, że gdyby taka metamorfoza miejsce miéć mogła, dorożkarze wstrzymaliby się od smagania biczem swego sprzężaju, a mężczyźni staliby się względniejszymi i wyrozumialszymi dla kobiet.

„W Anglji koni batem nie biją, a przecież te zwierzęta dobrze i umiejętnie kierowane, sumiennie na kawałek chleba zarabiają. Anglicy nie upokarzają (sic) do tego stopnia swych koni, aby je jak francuzcy dorożkarze ciągle biczem smagali, a przecież biegają one tam i ciągną lepiéj, jak u nas we Francji. Czyżby nie podobna w kraju naszym, który postępowym, cywilizowanym i uprzedzającym dla płci pięknéj cały świat nazywa, czyżby nie można, powiadam, przyjść do téj doskonałości, aby z kobietami tak przynajmniéj się obchodzono, jak Anglicy ze swemi końmi postępują?“

Pomimo excentryczności myśli i stylu téj oryginalnéj skargi, wiele, przyznać należy, znajduje się w niéj słusznych wyrzutów. (dok. nast.)

WEZUWJUSZ.

Najważniejszém dziś zjawiskiem dla nauki, jest znaczne unoszenie się nad poziom wybrzeża morskiego Torre del Greco. Powierzchnia ziemi bowiem podniosła się tam na jeden metr i dwanaście centymetrów, czyli blizko na dwa łokcie. Jest to szczególniéj widoczném w części miasta zbudowanéj na lawach wyrzuconych w roku 1794. Wypadek ten obalił twierdzenia starożytnych historyków, którzy utrzymywali, że poziom morza opadł kilkakrotnie podczas wielkich wybuchów Wezuwjusza.

Od założenia Rzymu do pierwszego wieku naszéj ery, Wezuwjusz był górą wygasłą. Dawny wierzchołek nie dzielił się jak teraz na dwa cyple, ale miał kształt spłaszczony, a szczątki starego krateru tworzyły wkoło niewysoką krawędź, pokrytą dzikiém winogradem, środek zaś stanowił żyzną dolinę. Boki góry pokryte były szerokim łanem zboża, u stóp wznosiły się dwa ludne miasta, Pompeja i Herkulanum.

Gwałtowne trzęsienie ziemi zapowiedziało w roku 63 ery naszéj ocknięcie wulkanu. Lekki ruch powtarzał się kilkakrotnie w przeciągu lat następnych; w miesiącu Sierpniu roku 79 wzmógł się znacznie i zakończył okropnym wybuchem, który pogrążył Herkulanum i Pompeję nie tak w zaspach

popiołów, jak mylnie utrzymywano, ale raczéj w powodzi błota, spowodowanéj wybuchem.

Wezuwjusz wtedy wyrzucał z siebie tylko zwir, popiół i piasek wulkaniczny. To samo powtarzało się w sześciu wybuchach późniejszych, które nastąpiły w ciągu dziewięciu wieków. Dopiero od roku 836 wulkan począł wyrzucać z siebie potoki lawy, o czém świadczy królewski zamek w Portici, zbudowany na skorupie lawowéj, pozostałéj z ówczesnego wybuchu. Odtąd Wezuwjusz wyrzucał zawsze lawę.

Postać krateru zmieniała się często, a każdy wielki wybuch tworzył w niéj widoczną zmianę. Ustęp z opisu Branciniego da nam poznać kształt Wezuwjusza przed wybuchem z roku 1631, oraz ważniejsze cechy tego gwałtownego wstrząśnienia:

„Krater—mówi on—miał pięć mil obwodu i około tysiąc kroków głębokości; boki jego pokryte były młodzieżą leśną, w środku zaś ciągnęła się dolinka, na któréj pasterze paśli bydło, albowiem wulkan od 130 lat w zupełnéj zostawał spokojności. W zaroślach dziki zakładały sobie legowiska; na dolinie pokrytéj popiołem były trzy małe sadzawki: jedna z wody ciepłéj gorzkawéj, druga napełniona wodą słoną, a trzecia wodą ciepłą bez smaku.

„W końcu, te lasy, te doliny pokryte murawą znikły nagle, wyrzucone w górę, a wicher daleko poroznosił ich szczątki. W Grudniu siedm potoków lawy płynęło równocześnie z krateru, zalewając wsie rozrzucone na pochyłości góry.

„Wieś Resina, zbudowana w miejscu dawnego Herkulanum, (gdzie zbierają słynne winno *Lacrima Christi*), padła także ofiarą, zalana ognistym potokiem; okropna powódź błota nie mniejsze wyrządzała szkody, jak się to przytrafia nieraz podczas wybuchu, albowiem z wyziewów wodnych, parujących w górę, powstają ulewne deszcze, które połączywszy się z kurzem i popiołem, tworzą błotnistą powódź.

„Na dzień lub kilka dni przed wybuchem daje się czuć wstrząśnienie ziemi, słychać głuchy łoskot, podobny do podziemnych jęków. Lawa nie wychodzi, jak zwykle, wierzchem krateru, ale rozpadłemi poniżéj szparami, najczęściéj nawet szczerbą świeżo pękniętą w łonie góry. W roku 1794 dobywała się przez otwór długi na 2,375 stóp, szeroki na 237. W roku 1822 wytryskała w trzech miejscach, w 1828 w siedmnastu.

„Lawa przepływa zwykle na godzinę jeden kilometr, albo wiorstę, jest téż czas uciekać przed nią bezpiecznie; jednakże w roku 1776 przepływała dwa kilometry na czternaście minut.

„Kolor lawy rozpalony do białego, kiedy wychodzi z krateru; płynąc wre i kipi z szumem, obraca w węgiel drzewa, które napotyka po drodze i rozlewa się szeroko, pokrywając niekiedy kilkomilową przestrzeń, jak się to zdarzyło w r. 1766. W kilka lat późniéj lawa zwróciła się ku wybrzeżom, zalała miasto Torre del Greco i wpłynęła do morza potokiem szerokim na 1,127 stóp, tworząc niby kataraktę 30 stóp wysoką. Ilość lawy dobytéj wówczas z morza Śródziemnego, wynosiła 5,608,800 sążni kubicznych.

„Kłęby dymu i popiołu, a nawet bryły kamienne towarzyszą każdemu wybuchowi. Popiół dosięga dziesięciu, dwudziestu, a niekiedy nawet trzydziestu mil oddalenia. Siła wypychająca na zewnątrz materjały wulkaniczne tak jest wielka, że kiedy w r. 1779 odłamała się cząstka cypla góry, ważąca około 120 funtów, i wpadła w otwór krateru, wulkan wyrzucił ją przeszło na 2,000 stóp daleko.

„Co do czasu trwania wybuchu, nie ma na to stałego prawidła. Wulkan może się uspokoić w przeciągu kilku godzin lub kilku dni, może także przez kilka miesięcy trapić kraj bezustannie, jak się to zdarzało w latach 1694 i 1766.

„Dotąd Neapol nie był nigdy pastwą Wezuwjusza, lubo nie leży daléj od miasta niż Pompeja. Trwoga jednak przejmuje zawsze jego sześć kroć sto-tysięczną ludność, ilekroć huk wulkanu, podobny do huku dział, wstrząśnie szyby domów, a chmura popiołu tak przyćmi słońce, że wśród dnia nie można wyjść na ulicę bez latarki.

„Na całéj kuli ziemskiéj naliczono 530 czynnych wulkanów; z tych 10 jest w Afryce, 14 w Europie, 127 w Azji, 175 w Oceanji, a 204 w Ameryce. Wezuwjusz sam jeden na stałym lądzie Europy, jest karłem w porównaniu z Popokatepelt w Mexyku, który ma 5,400 metrów wysokości, lub z górą Teneryfą, wysoką na 5,610, a nawet z Etną, wynoszącą 3,237; Wezuwjusz ma tylko 1,500 metr.

„Naliczono od roku 97 naszéj ery do roku 1830 siedmdziesiąt pięć wybuchów Wezuwjusza. Odtąd przez lat trzydzieści dwa przybyło aż dziesięć. Liczba ich wzrasta stosunkowo w sposób zatrważający.“

---

* *
*

Chciałbym o Wiśle coś z Wami pogwarzyć— o téj ukochanéj pani polskiego flisa i oryla, o jéj modrym swawolnym szlaku, co zatopił przeszło dwadzieścia kilka wsi w okolicy Szczucina i Ma-

niowa, a u stóp naszego grodu z majestatyczną powagą płynie dalej w świat, aby prochy szczytów karpackich pokumać z falami Bałtyku.... ale przedmiot ten, to Scylla i Charybda.... zręczniejsi niż ja pływacy potopili w nim swoje.... pióra... więc milczę, i przed innemi nowinami donoszę Wam, że Towarzystwo zachęty sztuk pięknych odbyło ogólne posiedzenie i ogłosiło uczestnikom sprawozdanie z całorocznéj swéj czynności. Podług niego Towarzystwo miało członków 1,464, dochód wynosił złp. 77,150 gr. 24, a remanentem pozostało złp. 18,305 gr. 6. Pomiędzy członkami honorowemi znajduje się dziewięć dam, a najczynniejszemi i najwięcéj Towarzystwu przynoszącemi korzyści, są panowie Rastawiecki, Przezdzieccy i znany artysta-malarz Schouppe. Nadto, majorat Hr. Krasińskich zobowiązał się przyjmować do zachowania wszelkie fundusze Towarzystwa i płacić od nich przy końcu roku 4% procentu, bez względu kiedy takowe w kassie złożone zostały.

Takie serdeczne zajęcie się możnych ludzi opieką nad ojczystą sztuką, cały kraj uraduje, bo gdyby wszyscy co ich wypadek urodzenia mieniem nad innych wyniósł, mogli podobną pracą i poświęceniem na zarzuty ospalstwa i lenistwa odpowiedzieć, byłoby inaczéj na świecie. Mienie bowiem im większe, tym więcéj obowiązujące, a kraj tyle ma potrzeb gwałtownych, że patrzéć na nie z założonemi rękoma, bawić się dymkiem cygara i myśléć o niebieskich... migdałach, jest przestępstwem godném rózgi, a nawet kija—bo

Na młodych dobrą jest różczka brzozowa,
Na starych korbacz albo wić dębowa.

U możnych jednak, arystokratyczne wady i myśli mają przynajmniéj grunt, na którym swobodnie mogą się krzewić, rozrastać i plonować; ale cóż powiecie na owo biedactwo, błąkające się od komina do komina, gnące kark przed każdym jaśnie wielmożnym dukatem, piastujące herb swój i nazwisko jak skarby całego świata, i przytém poniewierające ludźmi pracy, niby inwentarzem przeznaczonym na orkę i mozół, dla ich herbowo-oświeconego próżniactwa?

W tych dniach jeden z takich, na radę, aby korzystając z dobroci ludzi, założył handelek z cygarami, nićmi, kartami i t. p., coby żonie jego dało i zajęcie i utrzymanie, odrzekł z największém oburzeniem, że żaden jego nazwiska nie mierzył jeszcze nigdy ani kwartą, ani łokciem i nie zajmował się kramarszczyzną.

A jaką miał przytém minę, to za nic żaba nadstawiająca nogę do kucia, za nic duma dumnie dumniąca się.... Wprawdzie, podobne egzemplarze, nieoszacowane w gabinecie głupstwa ludzkiego, coraz są rzadszemi, i z czasem, w Bogu nadzieja, staną się białemi krukami, ale dziś jeszcze dosyć zawadzają na świecie. Karćcie więc je i gromcie bez żadnéj litości, bo to i dla ich i dla wspólnego nas wszystkich dobra.

Inaczéj postępują młodzi rzemieślnicy Polacy, znajdujący się w Wiedniu; garstka ta młodzieży, złożona jednak z tysiąca osób, żyje z sobą w największém braterstwie, oddając się nauce właściwéj dla swego zawodu. W karnawał, jak zwykle, miał być dany bal, przemieniono go więc na koncert, ale i ten nie przyszedł do skutku. Na młodzież jednak polską znajdującą się w uniwersytecie, korrespondencja żali się, daj Boże! żeby niesłusznie.

Kiedyś, przed laty, w pewném miejscu żołnierz prosty wyratował tonącego; za czyn ten jednak dowódzca pominął szeregowca, a przedstawił oficera, powiadając, że taki prostak niegodzien jest przeznaczonéj za to nagrody. Żołnierza więc zostawiono na boku, a oficera, co razem z dowódzcą umiał pływać, ale tylko w raportach, udekorowano. Coś podobnego zdarzyło się teraz w Czechach z młynarczykiem Lutniczką, proszącym na piśmie władzy o wynagrodzenie podartéj przez niego odzieży przy uratowaniu tonącego chłopca. Pod pozorem bowiem, że jako umiejący pływać, nie narażał swego życia, nietylko odmówiono mu powrotu poniesionéj straty, ale nawet urząd podatkowy skazał go na zapłacenie 77 centów, jako kary za zrobione podanie bez stępla. Fakt ten przyjmijcie bez komentarzy.

Donoszę Wam o przygotowujących się różnych wydawnictwach dla ludu, o które tak prosicie się i dopominacie. Pomiędzy innemi da Wam także Janek z Bielca książeczki obrazkowe, w których rysunki stanowić będą główną treść opowiadania, aby działać niemi na całą massę ludu wiejskiego, na piśmiennych i niepiśmiennych; obrazki z życia zasłużonych i świętobliwych Polaków i Polek; trzecie wydanie Gawęd Księdza Proboszcza pod lipami; wszystkie swoje różne pogadanki, drukowane w pierwszych latach Czytelni Niedzielnéj i książkę do nabożeństwa dla ludu wiejskiego, któréj druk już rozpoczęty został. O innych donosiły już Gazety, jak więc tylko która z zapowiedzianych publikacyj wyjdzie, nie omieszkam Wam o niéj obszerniejszą dać wiadomość.

LUD WIEJSKI I JEGO OŚWIATA.

—W Radlinie w Lubelskiém, pan Gąsiewski włościanom płacącym czynsz, widząc ich przeciążenie w téj opłacie, oświadczył, że opuszcza im z każdego gospodarstwa po złp. 26 gr. 20 kwartalnie, czyli rocznie po złp. 106 gr. 20. Radość włościan nie da się opisać, a czynem takim prawdziwie obywatelskim, Janek z Bielca zaręczyć może, że włościanie prędzéj zrozumieją prawdziwą przyjaźń dla nich, niż najmędrsze teorje i rozumowania.

—W Łomżyńskiém, we wsi Leman, włościanin Stanisław Zadroga powziął myśl wystawienia kościołka filjalnego, i na ten cel przeznaczywszy złp. 666 gr. 20, pilnie zakrzątał się wykonaniem swojéj myśli. Poczciwemu zamiarowi Bóg widocznie pobłogosławił, bo kto żył, dążył z pomocą: ten z rydlem, siekierą, wozem, datkiem, a nawet i oszczędzonym groszem—dosyć że kościołek stanął i ludzie w nim modlą się.

—Z okolicy Sandomierza donoszą nam, że panna Wirginija R.. bez niczyjéj pomocy, codziennie po cztery godziny wieczorem uczy do 30 dzieci wiejskich. Praca i poświęcenie się młodéj nauczycielki, powiada korrespondent, godne są największéj pochwały, anielską bowiem swoją dobrocią umiała ośmielić i zachęcić do nauki dawniéj dziką i nieśmiałą dziatwę wiejską, zjednała ich serca tak dalece, że kiedy wypadło jéj na dni parę wydalić się z domu, to dzieci z płaczem przybiegły na pożegnanie. Wszystkie prawie czytać zaczynają, tyle zaś nabrały ogłady, śmiałości, tyle chęci do nauki, że będąc między niemi zapominasz, że jesteś między dziatwą wiejską, w któréj oczach widziałeś dawniéj tylko bojaźń, dzikość i głupotę.

Za tę pracę i poświęcenie, Janek z Bielca, jako dawny znajomy, przesyła Pannie Wirginji R... serdeczne podziękowanie, a choć starszy wiekiem i ucałowanie poczciwéj rączki, która obok nauki tak umié prostaczków przytulać do serca i przez dziatki zyskiwać przyjaźń całéj gromady.

—Włościanie wsi Swidnika pod Lublinem obowiązali się własnym kosztem założyć szkołę.

—W Stopnickiém, donosi p. J. P... z Grzybowa, z powodu licznych przeszkód, które jednak pomału usunięte zostaną, szkółki dotąd są tylko w projekcie i zaledwie kilka z nich funkcjonuje. Zeszłéj jesieni, o ile mi wiadomo, otwartą została szkółka w Strzelcach, do któréj na ludność 800 dusz uczęszcza 80 dzieci i uczy się pilnie i z ochotą.

—W Żelechowskiém, dla ukrócenia zbytku widocznego między ludem, obywatele piśmiennie zobowiązali się od świętego Jana usunąć wszystkich propinatorów. Czyn godny największéj pochwały, i kto wié, czy nie jest pierwszym w sprawie trzeźwości ludu.

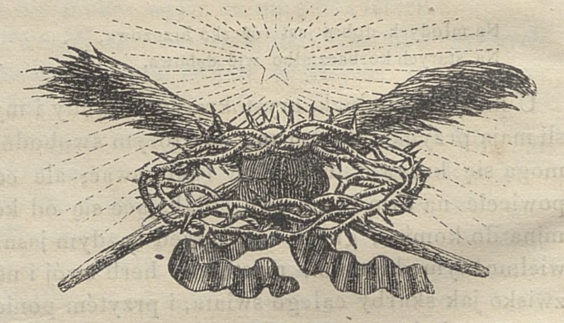
—We wsi Rykach w Żelechowskiém, dzieci przeszło 60 uczy pan Chromiński, miejscowy chirurg, bez żadnego za to oddzielnego wynagrodzenia. Zacna to, szlachetna i poczciwa praca, którą Bóg zawsze wynagradza błogosławieństwem.

—W mieście Kołbieli uroczyście otworzoną została Kassa oszczędności i pożyczek, ku pożytkowi ogólnemu wszystkich mieszkańców, bez różnicy stanu i wyznania. Za całość składanych oszczędności i wypłacalność ich z procentami, poręczyli właściciele Kołbieli, Gadka i Sufczyna. Przytém przyjęli na siebie obowiązki kassowe, z powoływaniem co miesiąc innego gospodarza z każdéj wsi koleją, który oprócz tego ma sprawować urząd klucznika. Na pierwszy raz złożono złp. 2,951 gr. 10, w kwotach poczynając od gr. 10 do złp. 333 gr. 10 na raz jeden. Przejeżdżająca Izraelitka, jako objaw wdzięczności za przypuszczenie jéj współwyznawców do téj instytucji, złożyła na własność kassy złp. 3 gr. 10. W tém samém mieście urządza się Bibjoteka dla oficjalistów, włościan i dzieci.

SZARADA.

Pierwsze wzięte odwrotnie, jest kartą do grania,
Wspak *drugie* wymawiając, znakiem podziwiania;
Trzecie z *pierwszém* gatunek i niby odmiana,
Czworonożnym zwierzętom najczęściéj dawana.
Wszystko przestrzeń piaszczysta, pusta i bezludna,
W podróży niebezpieczna, i przykra i nudna.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Krynolina**).



Paletoty.—Negliż popelinowy.—Suknie czarne wełniane,—Czepeczki i ubiorki.—Spódniczki wełniane.—Parasolki en cas i wachlarze.

Każda moda prawdziwie pożyteczna i dogodna utrzymuje się długo, i nie odmienia z każdym rokiem. Widziemy to naprzykład na paletotach, które stanowią najdogodniejszą część ubrania. Noszą je też równie na ulicę jak w domu, czy to cieplejsze, czy lżejsze; to zastosowane do spódniczki, lub też całkiem odmienne. Widzieliśmy w tych dniach w magazynie panien Kuhnke piękne ubranie, złożone ze spódnicy i długiego paletota z po-

pielatéj irlandzkiéj popeliny. Spódniczka wycięta u dołu w zęby, naszyta była w drabinkę czarną wstążką 4go numeru; w miejscu gdzie ząb się wcinał, szczebel owéj drabinki sięgał przynajmniéj na pół łokcia w górę; między temi dłuższemi szczebelkami szły po trzy koło siebie, krótsze o połowę od tamtych. Paletot dochodził do miejsca, gdzie się kończył garnirunek spódnicy, i tak samo przybrany był u dołu. Przody objęte po prostu wstążką, spinały się na czarne lawowe guziki, na piersiach tylko wyszyta była drabinka, szersza w górze, zwężona w końcu stanu. Rękawy bardzo szerokie spadające, podobnież były zakończone. Prześliczna to suknia pod względem gustu, nic jéj zarzucić nie można, ale bardzo kosztowna. Nie licząc bowiem roboty, sama popelina wynosi po kilkanaście złotych za łokieć, a na paletot z powłóczystą spódnicą potrzeba jéj blizko trzydzieści łokci; mało komu też wolno myśléć o tak drogiém negliżowém ubraniu.

Powiedzmy za to o ładnéj sukni z cienkiego kamlotu czarnego, która zwróciła naszą uwagę w tymże magazynie. Spódniczka długa, wycięta była u dołu w zęby obszyte czarną taśmą. Nad tém szła falbanka z podwójnego kamlotu, szeroka na dwa palce, zakończona w górze trzema rzędami taśmy wełnianéj. Spódniczka ta wszyta była w wązki pasek szwajcarski, zwrócony w górę zębem, lekko zaokrąglony u dołu. Po bokach szły kieszonki naszyte pasmanterją z lawą. Stanik gładki spięty na guziki, szamerowany był z węgierska grubemi pletniami z pasmanterji; rękawy w górze szerokie, przyfałdowane wkoło, zwężały się od łokcia do ręki i kończyły zupełnie płasko, naszyte w ząb dwoma falbankami i potrójną taśmą, co razem tworzyło niby obcisły mankiet. Spódniczka kładziona osobno, przyciskała z wierzchu stanik, a pasmanterje naszyte w poprzek na pasku, dopełniały węgierskiego szamerunku stanika. Była więc podwójna dogodność, gdyż można nosić osobno spódniczkę do Garybaldki, zuawki lub paletota.

W magazynie pani Klementyny widzieliśmy též parę ładnych sukien, które tu szczegółowo opiszemy.

Suknia *poult de soie* czarna, miała u dołu pięć falbaneczek wązkich na dwa palce, wycinanych w ząbki; falbaneczki te dotykały jedna drugiéj, tworząc razem jakby szlak u dołu spódnicy; nad ostatnią w górze szła torsada przepinana w małych odstępach rzędem pętelek i guzików. Stanik gładki zapinał się na guziki; od ramion do paska przechodziły z obu stron falbaneczki zakończone w górze torsadą. Rękawy szerokie i otwarte, takiż sam miały garnirunek.

Suknia wełniana rypsowa, przybrana była z przodu na spódnicy wodą *à la vieille*, daną trzy razy w podłuż. Stanik gładki zapięty na guziki, miał za główną ozdobę wodę naszytą przez plecy i ramiona, schodzącą się na przodzie paska. Rękawy szerokie u góry, obcisłe przy ręku, wygarnirowane były w podłuż trzema rzędami wodą aż po łokieć. Woda ta miała z obu stron wypuszczony łepek, objęty pliską jedwabną czarną.

Ładne czepeczki w tym magazynie miały w ogólności kształt okrągły; nad czołem zdobił je diadem ze wstążki, daléj szedł garnirunek z białéj illuzji, fałdowanéj razem z czarną i zakończonéj u brzega białą i czarną blondynką. Na tył głowy spadał koronkowy czarny welonik.

Jeden z tych czepeczków miał nad czołem wielką kokardę z białéj gładkiéj wstążki, przepiętą w środku czarną koronkową rozetką; od niéj spadał na tył głowy czarny welonik, z pod którego wychodziły długie białe końce.

Czepeczek dla starszéj osoby illuzjowy, obszyty białą i czarną blondynką, przepinaną pukielkami z czarnéj wstążki, miał takież końce do wiązania i fanszonik z wierzchu zarzucony.

Do strojniejszych ubiorków należał wałek aksamitny czarny, ozdobiony nad czołem diademem z wielkich czarnych skabiozów nakrapianych stalą, po bokach rozchodziły się stalowe kłosy na dwie strony. Od tego wałka na warkocz spadał welonik czarny, naszyty stalowemi perełkami.

Przy zmiennéj pogodzie wiosennéj warto wspomnieć o wielkim zapasie czarnych i popielatych wełnianych spódniczek w magazynie pana Szlenkera, odznaczających się gustem i praktycznością. Najstrojniejsze z nich, zwane andaluzyjskie. mają u dołu szeroki szlak, jakby koronkowy; takie spódniczki są białe i jasno-popielate z czarnym szlakiem, albo czarne z białym, które wydają się jak powleczone u dołu białą koronką. Innych spódniczek rypsowych czarnych, z odpasowanym szlakiem czarnym lub białym, dostanie w różnych gatunkach i na różne ceny, od 60 do 80 złp. Kamlotowe z szerokim u dołu pasem, pikowanym w drobne kwadraciki, kosztują po złp. 48. Można dostać także na łokcie różnych tartanów w paski poprzeczne, popielate z czarném lub czarne z białém, łokieć po złp. 8 do 10.

Magazyn ten zaopatrzył się również w znaczną ilość małych i większych parasolek. Małe wizytowe, białe haftowane w rzucik jedwabiem, z rączką białą kościaną, kosztują od złp. 50 do 80. Czarne morowe, podszyte biało, z frendzlą czarną na białéj i rączką czarną, wypadają na złp. 60. Z pomiędzy strojniejszych podobały nam się bardzo

czarne koronkowe, na takimże *poult de soie*, z białą kościaną rączką, w téjże saméj cenie jak poprzednie. Inne znów jedwabne, mają na każdym kwadraciku naszyty owal koronkowy.

Zalecamy szczególniéj piękne parasole *en cas*, z czarną rączką i gałką z aluminium, pokryte czarną materją, naszywane z brzega potrójnym łańcuszkiem z białego lub czarnego jedwabiu; cena ich złp. 48. U niektórych uważaliśmy rączki rzeźbione z dębowego drzewa. Najskromniejsze, gładkie jedwabne, w dobrym gatunku, kosztują po złp. 42.

Na tę porę, parasolik zdaje się jeszcze zbytecznym; zastępują go wybornie czarne wachlarze jedwabne; dostanie takich z rączką hebanową w magazynie pana Szlenkera, od złp. 13 do 20, stosownie do wielkości.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode.—Zwróciła naszą uwagę suknia popielata popelinowa; u dołu zdobiły ją trzy rzędy falbanek ułożonych w zęby, nad każdym rzędem szła aksamitka czarna.

Do wielu sukien używają pasmanteryj pomieszanych ze stalą; guziki do nich bywają téż stalowe.

Paletoty okładają materją pikowaną w pierożki.

W lecie nosić będą zuawki białe z muszlinu lub nanzuku. Szmizetka w drobne fałdki stanowi konieczne ich dopełnienie.

Magasin des demoiselles daje w tym w tym miesiącu rycinę sukni jedwabnéj z gładkim stanikiem, spinanym na guziki. Spódnica u dołu obszyta fałdowaną falbanką, szeroką na ćwierć łokcia; nad tém idą w ćwierćłokciowych odstępach falbanki szerokie na trzy palce, zwężone w górze, naszyte w ukośnym kierunku; pomiędzy jedną falbanką a drugą idzie rzęd guzików, po sześć jeden nad drugim. Rękawy otwarte, niezbyt szerokie, ścięte od łokcia do ręki, naszyte są w tém miejscu guzikami i falbanką wzdłuż rękawa. Rękaw u dołu również garnirowany falbanką.

Noszą zawsze gorseciki szwajcarskie. Niektóre z nich zwane *ceinture postillon*, mają z tyłu karoczek fałdowany w głębokie kontrafałdy; z przodu sznurują się lub spinają na guziki.

Pasy szwajcarskie bardzo się téż upowszechniły: aksamitne obejmują białym rulonikiem jedwabnym i brzegiem garnirują koronką lub gipiurą czarną.

Opis ryciny.

Fig. 1. Suknia popielata popelinowa, krajana w kliny; bryt każdy naszyty falbankami w podłuż. Stanik gładki zapięty na guziki. Rękawy męzkie, garnirowane falbanką od ramienia do ręki. Okrycie z aksamitu wełnianego (velours de drap), fałdowane z tyłu i naszyte w plecach klapą aksamitną z zakończeniem szmuklerskiém. Płaszczyk wycięty jest w zęby i obszyty wełnianym barankiem, Manszon skonksowy. Kapelusz z aksamitu niestrzyżonego,

Fig. 2. Suknia jedwabna formą Gabrjeli, ze stanikiem wpół otwartym i ozdobami szmuklerskiemi. Kapelusz jedwabny.

Fig. 3. Ubranie panienki. Spódniczka czarna wełniana w białą krateczkę, z takimże paskiem szwajcarskim. Bluzka biała półbatystowa. Paltocik wpadający do figury, z popielatéj syberyny, obłożony czarną materją. Kapelusz aksamitny przybrany piórem. Buciki prunelowe z obłożeniem lakierowaném. Kamasze z popielatego kortu, z czarnemi guziczkami.

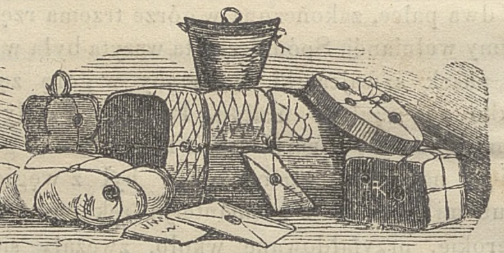
DONIESIENIA.

W Księgarni Polskiéj **Adama Dzwonkowskiego** i Spólki nabyć można dzieł następujących:

„Jeografja powszechna“ krótko zebrana przez Felixa Konwerskiego. Nauczyciela Szkół rządowych. Cena egzemplarza oprawnego złp. 3 gr. 10.

„Praktyczna Gramatyka Polska“ na zasadach historyczno-porównawczych; dla użytku młodzieży polskiéj napisał Jan Łukomski, Kandydat filozofji, były Nauczyciel w Gimnazjum realném i Szkołach filologicznych w Warszawie. Cena złp. 2.

Portret Hr. Andrzeja Zamojskiego w wielkim foljo formacie, rysowany przez W. Gersona. Cena złp. 10.



Panu Włady. Jabłonow... w Płu...—Należytości za wysłane sprawunki jeszcze na początku Grudnia zeszłego roku, nie odebraliśmy dotychczas.— —Pani Z. K. w Krzem...—Ufarbowanie sukni z opłatą pocztową, kosztować będzie złp, 20.— —Panu Ste. Sz...—Czapeczki kosztują po złp. 26 gr. 20.— —Pani K... B...—Nie rozumiemy co właściwie znaczy: „proszę kupić 4 łokcie perfum“, dotąd bowiem perfumy wszelkiego rodzaju zawsze przedają na flaszki, na łokcie zaś nigdyśmy nie kupowali. Albo więc jest błąd w wyrażeniu, albo téż żądanie jest o nowy, nieznany nam rodzaj pachnidła, przedający się nadspodziewanie na łokcie.— —Pani Magda. Ko...—Złp. 6 gr. 20 na kościół Panien Marjawitek odebraliśmy.— —Pani Z. Le...—Za mały moteczek kordonku płaci się groszy 15, za większy złp. 1; moteczek peli po gr. 5. Sto arkuszy listowego papieru kosztuje złp. 3 gr. 10, jeżeli w lepszym gatunku to złp. 4 i 5.— —Pani Ka. Bogda...—Mory czarnéj na spódniczki dostanie u pana Thonesa po złp. 6 łokieć; gotowe takie spódniczki kosztują złp. 80.— —Pani Ju. Miro...—Okrycia syberynowe z rękawami węgierskiemi znajdują się u pana Dziechcińskiego przy ulicy Miodowéj. W tymże magazynie są także bluzki muszlinowe po złp. 24.— —Panu Cz. Su. z Ki...—Nadesłana nam pierwsza praca ma pewne zalety i nie jest bez talentu pisarza, ale zawiele w niéj krwi i krwi bez końca. Jest talent, może nawet zaplonować, ale pracy trzeba, nauki— i jeszcze raz pracy i nauki.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MOD

nro: 12 v:862.

Dodatek do Nru 12 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 22 Marca 1862 roku. *10 Marca.*

PODMOWY TOWARZYSZA KOSTKI

OBRAZEK HISTORYCZNY

Z CZASÓW JANA KAZIMIERZA Z ROKU 1651.

SKREŚLONY PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

7.

NOWI GOŚCIE.

Pan Hieronim Podlacki wchodząc do budy, przystanął chwilkę, i przy migającym płomieniu zrobiwszy oczami staranny przegląd jéj wnętrza, szepnął cóś do towarzysza znajdującego się na dworze, i postąpiwszy parę kroków rzekł:

— Cóż to za mysia jama? Czy to przystojna rzecz, ażeby ważne sprawy odbywały się w norze podziemnéj?

— Tak wypadło, proszę jegomości, — odezwał się Tomasz i podsuwając pniak ku panu Hieronimowi dodał: — niech jegomość trocha spocznie, naszych ino co nie widać, a w téj pustyni to domysłu żadnego nie będzie.

— Niechże i tak będzie, — odrzekł Podlacki siadając na pniaku; — a czyja to buda?

Wasiak podniósł głowy, spojrzał bystro na Podlackiego i rzekł:

— Mego zięcia. Kiedy jegomość był w Olszance podstarostą, pod lasem wyfundowałem chałupinę, ale mnie jegomość wygnał z niéj i z dziećmi przytulił mnie nasz dziedzic teraźniejszy pan Olszanowski, oj! i osłonił przed jegomością.

Podlacki przyjrzał się mówiącemu, zmieszał się cokolwiek, ale więcéj ze złości jak z innego jakiego uczucia, i widocznie przymuszając się:

— To ty Wasiak? — zapytał wyciągając rękę do starca, — bracie, zabacz dawności; a kiedy ja szlachcic herbowy do prostego człeka mówię bracie i podaję rękę, to zapamiętanie takiéj marności rzuć na stronę.

— Bracie, bracie... — szepnął Wasiak, — łacno to wyrzeknąć, ale zrobić trudniéj. Dąb stał w lesie, a siekiera podcięła go do połowy i sfolgowała, i rzekła: dębie, zabacz krzywdy mojéj. Ale dąb usechł, a siekierę rdza zjadła.

— Czy on opiły? — półgłosem zapytał Podlacki Tomasza, — bo jakoś baje jak w gorączce.

— Widać co chory, proszę jegomości, ale ta na to nie należy zważać, bo wszystko wyszykowane jak wypada.

I rzekłszy to Tomasz, pociągnął nieznacznie Wasiaka za kamizelę, jakby go tym znakiem chciał przymusić do milczenia, a Wasiak coś mruknął niezrozumiale i zwiesił głowę, zatapiając się w ponurém dumaniu.

— Żeby tylko tu jakiéj zdrady nie było, — pomyślał Podlacki pokręcając wąsa i dotykając ręką pistoletu wetkniętego za pasem, — djabeł musi się wmieszać do każdéj sprawy, a ten stary grat to jakoś z oczów patrzy na zdrajcę. Hej! panie Walenty, — zawołał głośniéj i wyszedł na dwór z budy.

Z pod kupy gałęzi, tuż zaraz przy budzie nagromadzonéj, podniósł się towarzysz Podlackiego, i prowadząc z sobą nic nieznaczącą rozmowę, nieznacznie posunęli się kilkanaście kroków w pole.

— Słuchaj panie Walenty, — zatrzymując i oglądając się dokoła szepnął Podlacki, — a gdzie chłop co nas przyprowadził?

— A śpi na ziemi pod kupą chrustu.

— To dobrze, ale panie bracie, chłop w budzie jakoś mnie nie weseli. Harda to sztuczka, a w Olszance przypieprzyłem mu nieraz skórę i zalałem gorącego sadła. Chłop z téj okazji przymówił mi, i ledwom go na odlew nie siepnął, ale się zmiarkowałem i nazwałem bratem i podałem rękę. Chłop pomruczał, zwiesił łeb ku ziemi, a ręka sama została na izbie. Więc cosić jest w tém.

— Ej! zwyczajnie, chłopska taka maniera, jak bata nie czuje, to śmielszy gębą.

— Może i to, — odrzekł Podlacki, — ale równie czuwajcie panie bracie, a ja ich jeszcze muszę pociągnąć za język. Niedługo tego czamrajstwa zejdzie się więcéj, bo jutro zaczniemy, pilnie więc baczcie na ich rozmowę i penetrujcie co jest u nich w myśli. Chłopstwo da nam posłuch, tylko tamten

siedzi mi w głowie, a bestyja ma u nich zachowanie...

— Nie frasujcie się, — odrzekł drugi, — penetrowałem ja to dzisiaj i w kilku karczmach, i nigdzie nie chwyciłem żadnego słowa, coby wychodziło z naszéj sprawy. Widać że zachowują sekret, i ucieszyłem się, bo po staremu skrywamy to, co mamy zrobić.

— I ja tak miarkuję, ale ostrożność nie wadzi,— odezwał się na to Podlacki, — i dlatego podejdźcie troszkę ku drodze, oczom nie folgujcie i patrzcie kto idzie? Jeżeli przyjaciel, przyjmijcie go z przyjaźnią, jak nieprzyjaciel, walcie w łeb z pistoletu i prosto do lasu, a znowu znajdziemy się na rozstaju. Ja tymczasem siedzieć będę w budzie, żeby niby pokazać, co przeciw nim nie mamy nijakiego podejrzenia, bo prostota wiem że za nami, tylko z tą starszyzną najgorsza sprawa.

Kiedy Podlacki wyszedł z izby na tajemną z towarzyszem swym rozmowę, Tomasz przychylił się ku Wasiakowi i rzekł przyciszonym głosem:

— Wasiaku! trzymajcież język w mierze, bo wilk już przy dole, żeby się nam nie wymknął.

— Dobrze, Tomaszu, ale kołowacieję patrząc na tę gadzinę. Gdyby oni wszyscy byli tacy... aż mnie ognie przeszły mój Tomaszu....

— Dziadusiu, — przerywając Wasiakowi odezwał się drżącym głosem chłopczyk siedmio-letni leżący na łóżku, wytykając główkę z pod pierzyny, — dziadusiu! czy ten szlachcic chciał was skatować? bo my z Hanką pochowaliśmy się z głowami, i zdało się nam że się wam odgrażał?

— Śpij moje dziecko, śpij, nie twoja to sprawa.

— Ale, śpij, a jak mnie szlachcic połknie... — na wpół z płaczem odrzekło dziecko, — jak mówią matusia, to co mi przyjdzie ze spania? — I pomilczawszy chwilkę znowu zapytał: — Moja matusiu, czy temu szlachcicowi leci ogień z nosa i gęby?

— A jakże, leci, leci, — odrzekła matka,—i ciebie spali, jak będziesz na despekt co robił.

Chłopczyk dał natychmiast nurka pod pierzynę, i po chwilce wysunął jedno oko, potém drugie, a przekonawszy się, że Podlackiego nie ma jeszcze w izbie, odezwał się cichym głosem:

— Matusiu, czy ten szlachcic wyrzuci nas z budy?

— Jak ino będziesz niepotrzebnie gadką bałamucił, to pewnikiem wyrzuci, a budę kijem rozwali. Spij! słyszałeś?

Chłopczyk znowu skrył się pod pierzynę; po chwili dał się słyszeć ukryty płacz obojga dzieci, i ze drżeniem wymawiane słowa:

— Matusiu... odziéjcie nas... bo z zimna tak nam z Hanką latają zęby... co aż nam trzeszczy w uszach... nikejby kto zgrzytał.....

— Z zimna? czy te dzieciuchy poszalały? w budzie aże parno, a oni przyodziewku szukają na pierzynę.

Uwaga matki zupełnie była sprawiedliwą, dzieciaki bowiem z gorąca podobne były do szmat wyciągniętych z wody; a drżąc z bojaźni nie z zimna, sądziły, że przyodziewek podwójny podwójnie je zabezpieczy przed grożącém od szlachcica niebezpieczeństwem, tym więcéj, gdy mógł palić ogniem ziejącém z siebie. Choć dziatki tak wychowane, z czasem przychodziły do innego przekonania, ale wrażenie nie ginęło, i ze krwią, jak przesądy i nałogi, przechodziło z pokoleń na pokolenie. Takie też doszło aż do naszych czasów, nic więc dziwnego, że obojętni na najpoczciwsze działania i w opak stają najlepszym chęciom.

W czasie całéj téj rozprawy, Stach najobojętniéj tłukł ziemniaki świeżo ugotowane w garnku, prawie nie dając baczenia na to, co się koło niego dzieje, i gdy dzieciaki uciszyły się rzekł:

— Daj Maryś gorzałki, napijewa się po kieliszku, to i tatuś i Tomasz troszka młodych ziemniaków sprobują.

Ale Wasiak potrząsł głową i w milczeniu odsunął kieliszek podawany mu przez Tomasza. W téj chwili wszedł Podlacki, Tomasz więc zwrócił się ku niemu mówiąc:

— Jeżeli dla jegomości nie będzie to z jaką przeszkodą albo z despektem, tobym przypił do jegomości.

— Mój bracie, — odrzekł Podlacki,—ja tu przyszedłem nie na żadne dumnienie się, albo wywyższanie, więc z wami choćby wodę pić aby razem.

— Oj! to, to, święte słowa jegomości, — odezwał się Tomasz i podnosząc ku niemu kieliszek rzekł:

— Życzę dobrego zdrowia jegomości.

— Pij z Bogiem mój bracie, czy Wasiak....

Tomasz kiwnął ręką przerywając dalszą mowę, oczami wskazał Wasiaka siedzącego w zadumaniu ze zwieszoną głową, a potém rękę przyłożył do gardła i czoła, dając przez to poznać, że już Wasiakowi troszkę gorzałka zaszumiała w łepetynie. Stach mruknął i spojrzał z uśmiechem na żonę, oznaczającym niejako radość z oszukania pana Hieronima, choć nie rozumiał ich kłamstwa, a Podlacki potrząsł głową, przypił do Stachowéj i otrząsając się zwyczajem pijackim zapytał:

— Czy ty Tomaszu zaznałeś wojennego rzemiosła?

— A jakże, proszę jegomości, wojowało się i ze Szwedem, i z Turczynem, i z Tatarzynem. Ale

zmarnowało się tylko zdrowia, nabiedowało i znowu na starość bieduje.

— Bracie! wszystko będzie inaczéj; Król Kazimierz poczciwy i sprawiedliwy, niech się ino wysunie z powijaków, to zasługi nie pominie bez nagrody, a nawet jeszcze teraz przedstawię was jegomość panu Kostce, to on wyrobi wam jaką u Króla osadę gospodarską i będziecie na całe życie szczęśliwi.

— Wartałoby proszę jegomości, boć się to natyrało, ale pono z téj mąki nie będzie chleba, bo żeby Król chciał, toby dawno nas chudziaków przygarnął do siebie.

— Król chciał, ale doradcy i starszyzna nie dała, mój bracie.

I dla przekonania Tomasza, pan Hieronim wysypał tysiące argumentów, które choć tylko pozornie miały za sobą słuszność, jednak niebezpieczną były bronią w ustach takiego człowieka, bo prosty umysł głębszych, zawilszych kombinacyj politycznych nie pojmie, ale za to z wielką łatwością lgnie do wszystkiego, co bezpośrednią z nim ma styczność. Tak jak więc w świecie między ludźmi, tak i tu, najlepiéj jest unikać pozorów i załatwiać samym wszystko to, co ma moc utrzymania nieszczęśliwego rozdziału. Dawniéj w Galicji pańszczyzna, a dziś brak separacji gruntów, było i jest kością niezgody między dworem i gromadą; gdyby pańszczyzna została usuniętą przez dwory, opłakane wypadki z 1846 roku z pewnościąby nie nastąpiły. Wprawdzie, samowolne takie przeistoczenie stosunków włościańskich byłoby wielką ofiarą, ale cóż dwory zyskały na tém, że na ofiarę taką zdobyć się nie mogły? Dziś z separacją gruntów to samo się dzieje—radziby rzecz załatwić, ale bez straty choćby grosika jednego, niepomni, że usunięcie powodu waśni, już jest korzyścią, niedającą się nawet obliczyć. U nas także coś podobnego ma miejsce: żyjemy z dnia na dzień, prawie nie myśląc co jutro może nastąpić, a choć pod tym względem gospodarniejszych nie brakuje, to prace ich jeden zły niszczy bez śladu.

Kiedy pan Hieronim wygadał się jak wiedział, stosując wszystko do zadumanego Wasiaka i milczącego Tomasza, i wreszcie na chwilkę odetchnął, wtenczas Tomasz westchnął, pokręcił głową, a Stach rzekł:

— Choć człek nie ma takiego rozumu jak drudzy, równie miarkuję, że gdyby nie starszyzna, toby lepiéj było na świecie. Jegomość mówi i z rozumem i z poczciwością.

Podlacki powstał, mruknął kilka słów niewyraźnych i wyszedł z budy, a Wasiak nachylił się ku Tomaszowi i zaczął szeptać cichym urywanym głosem, wskazując na jednę z gwiazd, któréj promień przez drzwi uchylone wpadał do budy:

— Tomaszu! ta gwiazdka, to gwiazdka mego żywota. Przed świtem zgaśnie na niebie, i mnie nie dłużéj między ludźmi.

— Co też gadacie? — przerwał Tomasz, ale Wasiak potrząsł ręką niecierpliwie i mówił daléj:

— Tomaszu, pójdziecie w świat i obetrzecie się o mądrych i o głupich. Wezwijcie więc Boga na pomoc i mówcie: było dwóch braci, żyli w przyjaźni, a djabeł się martwił. Na młodszego rzucił ciemność, a na starszego pychę i dumność, i bracia odskoczyli od siebie. Młodszego nędził, a składał to na starszego, i namawiał do kainostwa. Ale starszy wyrzucił z serca pychę i dumność, i młodszy zaczął przeglądać; starszy włożył w serce rzetelne kochanie, i zaraz wielkie buchło światło, a z młodszego ciemność opadła. I podali sobie ręce, i anioł związał je błogosławieństwem Bożém.

Wypowiedziawszy to Wasiak, oparł znowu głowę na rękach; Tomasz chciał mu na to coś odpowiedzieć, ale w téj chwili wszedł Podlacki, i nagle zatrzymując się na środku budy, nadsłuchał pilnie, i po chwili rzekł zwracając pytanie do Tomasza:

— Wyraźnie dosłyszałem jakby tętent koni. Co to ma znaczyć?

— To pewnikiem nasi, a dla prędkości powsiadali na szkapy.

— Przecieć mieli po osobności przyjść, — odrzekł Podlacki.

Tomasz tylko na to machnął ręką, bo szmer daleki, jakby dudnienie ziemi, coraz stawał się wyraźniejszym, tak że nawet ocucił Wasiaka z zamyślenia i zwrócił uwagę obojga Stachów.

8.

ŁAPKA.

Kiedy pan Hieronim rozłączył się z panem Walentym, towarzyszem swéj wyprawy, po odbytéj tajemnéj naradzie ten ruszył ku drodze mijającéj się około krzaków, i zatrzymał przy głębokim parowie, zarośniętym trzciną i dziką różą. Przypatrzywszy się dobrze miejscowości, spuścił się w dół parowu, dla bliższego z nim obznajmienia się; a przekonawszy się, że połączony dołem z gęstą zaroślą grabiny i leszczyny, w razie niebezpieczeństwa może służyć za przesmyk nader bezpiecznéj rejterady, wydobył się znowu na wierzch i usiadłszy na pniaku do połowy spróchniałym, spoglądał to ku drodze, to ku budzie migającego płomieniem ogniska. Po chwili mruknął:

— Już to latanie nocne kością mi stanęło w gardle, i jak miarkuję, to skończy się pewnikiem na naszéj skórze. Pan Hieronim w mowie Demostenes, ale równie, choć wędkę zapuścił, to prędzéj sam w jaką łapkę wpadnie, niż z niéj korzyść ściągnie dla siebie. Prostota ma rozum i miarkuje, że czy kijem, czy pałką, to wszystko wraz; a Kostka choć mądrala wielki, i panu Hieronimowi rozumu nie brakuje, to równie zdaje mi się, co pokpią sprawę. Za dobrą służbę obiecali ta, bo obiecali, a wszystko jakoby Rakoczemu zabiedz drogę do Krakowa, ale widzi mi się, że to krętarstwo. Gocławski mówił, co Biskup Gębicki srożył się na Kostkę (*), a i po cóż to srożenie, jeżeli zmowa ma iść dla dobra Rzeczypospolitéj. — I przy tych słowach, pomilczawszy chwilkę, dodał: — Co mnie wtykać nos między panów? aby obietnica wioski nie minęła, to co mi tam! nie z mojéj to idzie głowy, to i nie spadnie na moje sumienie, jeżeli z tego grzech jaki wyrośnie.

Pomruczawszy jeszcze chwilkę, zwiesił głowę i majacząc w myśli sennemi widziadłami, zaczął drzemać, mając się jednak na baczeniu, bo jedną rękę oparł na karabeli, drugą na rękojeści od pistoletu, sterczącego mu za pasem.

Drzemka ta jednak była bardzo krótką, bo i nie zeszło pół godziny czasu, kiedy nagle rozbudzony został jakimś tuż przy sobie niezwyczajnym szmerem. Podniósł głowy, poprawił czapki zasłaniającéj mu oczy i z wielkiém zdziwieniem tuż o kilka kroków spostrzegł gromadę ludzi postępujących w ciszy z największą ostrożnością. Na czele szło z ośmiu szlachty, którą łatwo poznał po kontuszach i karabelach, za temi postępowało ze trzydziestu włościan z kijami, a w dali stało kilka koni wierzchowych i bryczki. Pan Walenty zobaczywszy to, przetarł oczy, oblał się zimnym potem, a zmiarkowawszy, że to nie muszą być spodziewani przyjaciele, ale jakaś wyprawa dla nich niebezpieczna, krzyknął wielkim głosem:

— Przez Bóg żywy, zdrada! zdrada!

I wypaliwszy na oślep z pistoletu, zsunął się w wąwóz tak pospiesznie, że tylko krzaki zaszeleściły, i zaraz potém na dnie jego zadudniała ziemia pod uciekającym. Huk wystrzału obił się o pobliskie góry i odpowiedział echem, szlachta przystanęła, a czterech młodych parobczaków z gromady z okrzykiem wściekłości rzuciło się za uciekającym. W téj chwili ozwał się drugi strzał, jakby z budy, w któréj znajdował się pan Hieronim; potém powstał jakiś rumot, wrzawa głosów ludzkich, wreszcie dał się słyszéć jęk i głośne przekleństwa. Gromada pędem skoczyła ku budzie.

(dok. nast.)

(*) Piotr Gębicki Biskup krakowski.

Sposób chodowania indyków.

Dwudziestoletnie doświadczenie naprowadziło mnie na sposób łatwy i bardzo niekosztowny wychowywania indyków. Wiele jest sposobów, których używają do ich wychowania, a wszystkie kosztowne, jak naprzykład: parzenie kaszy mlékiem, gotowanie i siekanie pokrzyw jak szpinak, mieszanie kaszy z masłem i t. d.; te wszystkie, prawie zbytkowne sposoby, nie każdemu przystępne, przyprawiają je o niechybną śmierć, bo rzadko gospodarstwa, aby się z nich połowa utrzymała, a często z kilkunastu sztuk ani jedno nie zostaje. Prawda, że ten domowy ptak nierównie więcéj wymaga troskliwości jak inne, lecz tylko przez pierwsze cztery tygodnie. Indyczki zaczynają się nieść w miesiącu Marcu; jedna znosi 15, 18 do 20 jaj, lecz potrzeba aby tylko jeden był indor, gdyż inaczéj wiele będzie jaj pustych. Nasadza się je w miejscu więcéj chłodném niż ciepłém, gdzie nie ma żadnego zaduchu, spokojném, aby nie stukać i drzewa nie rąbać. Po nasadzeniu we dwa tygodnie, przeglądają się jaja od świecy i wyjmują czyste, a to dlatego, że indyczka czując instynktem puste jaja, źle siedzi i na zalęgniętych i oziębia je. Siedzi na nich cztery tygodnie, po których zaczynają się lęgnąć. Wylęgnięte pojedynczo wyjmują się z pod indyczki i kładą w ciepłém miejscu w pierze. Gdy już wszystkie wyjdą z jaj, podkłada się je pod matkę, aby wszystkie dobrze wygrzała, i tak zostają do drugiego dnia. Potém bierze się każda sztuka z osobna i oliwą smarują się łapki, uszka i tyłki, i daje się im do dziobka po dwa lub trzy ziarnka pieprzu maczanego w oliwie; poczém znowu pod matkę się podkładają i tak zostają do drugiego dnia. Najpierwszym pokarmem dla nich jest jajko siekane, i to tylko przez dwa dni. Potém usieka się krwawniku część, zagawek drugą, kilka listków piołunu; to wszystko miesza się z kaszą jęczmienną, ugotowaną na sypko i ostudzoną, oblewa kwaśném mlékiem, lecz w miarę, aby pokarm nie był ani gęsty, ani też zbyt rzadki, lecz służył zarazem i za napój. Jedzenie wykłada się na coś *miękkiego*, naprzykład na ścierećzkę czystą, gdyż na twardéj desce stukają dziobkiem, otrząsają sobie główki, i ztąd to pochodzi spuchnięcie i wtenczas padają jak muchy. Twarogu i sera nigdy nie dawałam, bo zatyka żołądki.

Po trzech lub czterech dniach, gdy jest pogoda, wynosi się indyki do ogrodu na trawnik, gdzie trawkę mogą dowolnie skubać, zdaleka od wody, aby jéj nie piły, powtóre, żeby się nie potopiły. Miejsce gdzie na noc siedzą ma być czyste, chłodne, z okienkami, co dzień czysto wymiecione, a łożysko codziennie świeżém sianem usłane, z bylicą, macierzanką lub piołunem. Po dwóch tygodniach odejmuje się krwawnik, a same tylko zagawki z kaszą i mlékiem się dają. Zagawki zastępują miejsce szczypioru, którego używają, a niewszędzie jest go wielka obfitość; rozgrzewa on żołądek i od wszelkich chorób chroni, jak tego już od kilkunastu lat doświadczam; a na sposób ten naprowadził mnie wypadek taki. Mając sztuk 30, karmiłam je sposobami wyżéj wspomnionemi, i chociaż najtroskliwiéj koło nich chodziłam, z 30 zostało mi tylko sztuk 8, i te już gotowały się na śmierć, opuściwszy skrzydełka jak płaszczyki wlekące się po ziemi. Spostrzegłam nagle, że indyki skubią łapczywie zagawki; uzbierać więc kazałam pokrzyw, usiekać i zamiast krwawniku dawać z kaszą i z mlékiem. Po trzech dniach takiego pokarmu indyczki moje ożyły i nowego życia nabrały. Odtąd inaczéj ich nie karmię, tylko tym sposobem. Nigdy mi żadne nie padło gdy korali dostają, które się wysypują po sześciu tygodniach; i chociaż w sąsiedztwach panowała choroba na nich, u mnie żadne podobnéj epidemji nie uległo.

Życzyłabym z serca Paniom Gospodyniom zaprowadzenia u siebie tak łatwego i niekosztownego sposobu, a zaręczyć mogę, że wiele tych smacznych ptaków od śmierci uwolnią, a dla siebie i dochód ze sprzedaży powiększą, i często na półmisku miéć go będą mogły. Nadmienić muszę w końcu i to, że jedzenie dla nich przysposabia się na dzień cały; nazajutrz nie daje się już tego samego tylko świeże, bo najczęściéj zmienione jest w smaku, jeżeli nie zostanie wyniesione do zimnéj piwnicy. W sześć tygodni już jedzą poślad pszenicy; wtenczas już mogą pić wodę, po rosie chodzić, a nawet deszcz im nie szkodzi.

Bylicka z Willanowa.